

PRZYJDZIE DO MNIE FACET W CZERNI

Nie wysyłajmy e-maili, nie zostawiamy śladów w sieci, obserwuje nas wszechobecny, kosmiczny Echelon Spóźniłem się do pracy. Nie oddałem tekstu w terminie. Nic dziwnego. Cały dzień bawiłem się Internetem. Zajrzałem na chwilę do swoich aukcji internetowych, potem przenieśliem się na stronę biura podróży, stamtąd pozełgowałem do przepisów kulinarnych, zawadzając po drodze o stronę z nie całkiem ubranymi modelkami.

Co teraz? Trzeba będzie nakłamać: powieść, że zachorowała babcia, żona będzie rodzić, a na mieście korki.

Szefowa wita mnie oziębło. Włącza komputer, na ekranie pokazują się jakieś wykresy.

Czy naprawdę musiałeś sprawdzać przepisy kulinarne aż dwie godziny, od 14.45 do 16.34? - pyta. - W dodatku ten przepis na kurczaka po kaszmirsku nie jest najlepszy.

Usiłuję wymyślić rozsądną odpowiedź, a szefowa wywołuje na ekran kilkadziesiąt zdjęć Claudii Schiffer.

- Czy ta pani w jakiś sposób wiąże się z tematem artykułu? - pyta.

- Żona będzie rodzić - mówię, ale szefowa tylko kręci głową. - Czyżby? Dlaczego w takim razie wysłałeś do niej wczoraj o 18.45 mejla "kupiłem bilety, czekam przed kinem".

Nie wiem, co odpowiadam, bo w tym momencie zwykle się budzę. Ale to nie koszmar, to przyszłość. A gdzieś tam nawet terazniejszość.

Zjem ciasteczko i mam ciasteczko

Pierwsze spotkanie z ciasteczkiem było bardzo miłe. Postanowiłem odwiedzić ponownie księgarnię w sieci. Wstukałem: amazon.com - nazwę największej sieciowej księgarni. "Witaj Leszek Talko" powitała mnie księgarnia. "Wiem, czym się interesujesz. Mogę ci zaproponować kilka książek, które z pewnością cię zainteresują".

Poczułem się miłe polechtany. Raz kupiłem u nich książkę, i to kilka miesięcy temu, a oni wciąż pamiętają, jak się nazywam. Ba, pamiętają, co kupiłem i pragną zaproponować mi coś nowego. W dodatku to co proponowali, bardzo mnie zainteresowało i zdecydowałem się na ponowne zakupy. Czyż jakkolwiek prawdziwy sklep potraktowałby tak klienta? Może przed wojną, w dobie usługowych subiektów z nawykiem zapamiętywania twarzy, ale nie dziś. W dodatku zakupy były znacznie prostsze niż za pierwszym razem. Żadnego mozolnego wpisywania adresu i numeru karty kredytowej. Jedno kliknięcie i już. Amazon wiedział przecież, jak się nazywam i gdzie dostarczyć przesyłkę.

Wiedział dzięki ciasteczku. Ciasteczka, czyli "cookies", to małe pliki, które zostają zapisane w moim komputerze, kiedy odwiedzę sklep internetowy. Kiedy połączę się z nim powtórnie, sklep znajduje swoje ciasteczko w moim komputerze i już wie, że jestem "Leszek Talko". Ciasteczka oszczędzają czas, doradzają. Rewelacja? A jednak znaleźli się ludzie, którzy ciasteczkom powiedzieli "nie". W gazetach na całym świecie ukazały się artykuły radzące, żeby nie wpuszczać ciasteczek do swojego komputera. Ciasteczko - argumentowali autorzy - nie tylko pomaga, ale również identyfikuje klienta i kto wie, czy oprócz swojej podstawowej funkcji nie ma jakiejś tajnej roli do odegrania.

Łatwiej powiedzieć, trudniej zrobić. 80 proc. sklepów sieciowych używa ciasteczek. Mówić wszystkim "nie"? To przecież bez sensu. Zwłaszcza że ciasteczka nie robią nic złego. Mają jednak groźnych krewniaków.

Oglądał Bill razy kilka, wynieśli i Billa

Październik 1999 roku. Bill Smith, od siedmiu lat pracujący w firmie Xerox - gigantycznej amerykańskiej korporacji zatrudniającej prawie sto tysięcy pracowników - jak zwykle siedział za biurkiem i pisał listy do klientów. Na ekranie komputera zamigotała nowa wiadomość. Smith kliknął. Wiadomość była krótka. "W związku z używaniem przez pana firmowego komputera do celów prywatnych, rozwiązujemy umowę o pracę". Takie same wiadomości dostało 40 innych pracowników korporacji.

- Niektórzy ze zwolnionych spędzali nawet osiem godzin dziennie w Internecie, oglądając strony poświęcone hazardowi, pornografii lub turystyce - mówi Bill McKee, rzecznik Xeroxa. - To nie miało nic wspólnego z pracą.

Jeden z wyrzuconych pracowników skarżył się potem w Internecie na podglądanie pracowników. Xerox nie czuje się jednak winny.

- Każdy komputer wyświetla codziennie ostrzeżenie, że praca może być monitorowana przez szefa - wyjaśnia McKee. - Oni to zlekceważyli.

Dwa miesiące później "New York Times", jedna z najważniejszych amerykańskich gazet, zwolnił 23

pracowników w jednym ze swoich oddziałów. Powód był ten sam co w Xeroksie.

“NYT” przeprowadził dokładne śledztwo, chociaż rzecznik gazety stanowczo zaprzeczał, że poczta elektroniczna pracowników jest przeglądana, a cała afera wyszła na jaw przypadkiem. - Ktoś doniósł, że pracownicy wymieniają niepoprawną politycznie korespondencję elektroniczną. Coś o blondynkach, a może Murzynach, a poza tym rozpowszechniają pocztą elektroniczną zdjęcia pornograficzne.

- Dopiero po tym doniesieniu zaczęliśmy przeglądać pocztę tej grupy osób - informuje rzecznik “NYT”. - Na co dzień nie stosujemy takich praktyk.

- Sprawa wyglądała zupełnie inaczej - pisze jeden z wyrzuconych pracowników. - Nigdy nie odwiedzałem stron pornograficznych, ani nie wysyłałem pornograficznych zdjęć. Możliwe, że ktoś mi je przysyłał, ale nie oglądałem ich w pracy. Jestem chory ze złości, kiedy widzę, jak opisuje się tę historię. Jakiś dziwny krąg zбочeńców pokazujących sobie nawzajem świńskie zdjęcia. Niech ktoś mi pokaże firmę, w której nie krążą dowcipy albo pracownicy nie przesyłają sobie śmiesznych zdjęć.

W czerwcu zeszłego roku marynarka amerykańska wysłała do 500 marynarzy i oficerów z bazy w Pensylwanii ostrzeżenie, a dziewięciu zawiesiła za przysyłanie pornograficznych zdjęć.

Mimo że pracodawcy dysponowali niezbitymi dowodami: wykresami udowadniającymi, że pracownicy w godzinach pracy rzeczywiście się objali, zajmowali rozrywkami, załatwiali sobie prywatne bilety na urlop albo robili przez Internet zakupy dla dzieci, czołówki gazet zaroily się od tytułów: “Wielki Brat obserwuje cię”.

Pojawiło się pytanie: czy Wielki Brat ma prawo obserwować cię w pracy? A jeśli tak, czy naprawdę musi podglądać listy kochanków?

Bańka nadaje do centrali

Marzec 2000 roku. Analityk systemów komputerowych Richard Allen przypadkiem zorientował się, że jest szpiegowany przez własny służbowy komputer. Allen używał niewielkiego programu, ściągniętego z wielkiej internetowej księgarni Amazon. Program nazywał się Bubbles (Bańki) i miał pomagać w zakupach w sieci. Bubbles włącza się wówczas, kiedy znajdziemy książkę, płytę czy też ubranie, które nas interesuje, i informuje, czy cena nie jest wygórowana, podaje ceny w innych sklepach, albo radzi gdzie można znaleźć podobny towar. Bubbles to taki idealny subiekt. Idealny, bo bezstronny. Niestety okazało się, że Bubbles robi jeszcze jedną rzecz, której nie zrobiłby nigdy prawdziwy sprzedawca: nadaje do centrali informację o kliencie, jego upodobaniach i wyborach.

- To jeszcze nie byłoby takie złe - twierdzi Allen. - W końcu jeśli program ma profesjonalnie doradzać, musi znać upodobania klienta i nie proponować mu muzyki heavy metal, jeśli ten lubi klasyczną.

Okazało się jednak, że Bubbles jest nadgorliwy i informuje Alexię, firmę która wyprodukowała program, o wszystkich posunięciach Allena.

Kiedy analityk postanowił kupić córce bilet samolotowy, Bubbles zawiadomił centralę firmy matki nie tylko o tym, że kupił, ale również o tym, że przeglądał oferty innych linii, a nawet dokonał rezerwacji.

Kiedy zaniepokojony Allen zaczął przyglądać się swojemu komputerowi, odkrył, że wysyła on jakieś informacje nawet wtedy, gdy Allen akurat z niego nie korzysta. Nawet wykasowanie Baniek nie pomogło. Najwidoczniej polecenie zaszyło się gdzieś w głębi systemu. Przerażony Allen zaczął drążyć sprawę. W końcu Bubbles mógł wysyłać numer jego karty kredytowej, którą płacił za zakupy w Internecie.

Kierownictwo Alexii broniło się, twierdząc, że program służył do niewinnych celów. Bubbles miał wysyłać tylko nazwy stron w Internecie odwiedzanych przez Allena. Niby nic wielkiego, Allen poczuł się jednak zagrożony. Dlaczego ktoś ma wiedzieć, jakie strony w Internecie go interesują? Wyobraźmy sobie, że idziemy na spacer i szpieg nadaje do centrali każdy nasz krok. Notuje, że kupiliśmy pęczek rzodkiewek, wstąpiliśmy do sklepu obejrzeć buty, w kiosku kupiliśmy “Nie” i “Hustlera” (a może “Gazetę Polską” i tomik dowcipów o Żydach), a potem namazaliśmy coś nieprzyzwoitego na plakacie jednego z kandydatów na prezydenta.

Wreszcie Alexia potwierdziła, że informacje o upodobaniach użytkowników rzeczywiście były zbierane, ale nie zamierza ich odstępować żadnej innej firmie, a co najważniejsze, chodzi wyłącznie o poznanie zainteresowań internautów i dane nie są łączone z nazwiskiem.

Ale czy naprawdę? Tego nie wiadomo. Wiadomo tylko, że program wysyła do centrali jakąś wiadomość. Co zawiera wiadomość, przeważnie szyfrowana, pozostaje tajemnicą. Takich programów jak Bubbles jest więcej. W slangu nazywa się je E.T., jak sympatycznego kosmitę z filmu Stevena Spielberga. Filmowy E.T., który na Ziemi znalazł się przypadkiem, koniecznie chciał zadzwonić do domu i wezwać pomoc. Programy typu Bubbles

też chcą zadzwonić do domu i robią to. - Sądzę, że blisko 20 milionów Amerykanów ma w swoich komputerach E.T. - mówi John Lightow, ekspert od zabezpieczeń komputerów. - Można na to natrafić tylko przypadkiem. Kto z użytkowników komputerów zauważy, że światelko modemu na ułamek sekundy zaświeciło przy nadawaniu i zaraz zgasło?

Simson Garfinkel, autor książek o komputerach, pamięta, że odkrył E.T. w swoim komputerze przypadkowo, kiedy leciał samolotem i jego laptop nagle chciał się połączyć z Internetem. - Gdyby laptop nie leżał na kolanach, a stał na biurku albo na półce, nie zauważyłbym tego - mówi Garfinkel.

Co mi zrobisz, jak mnie kupisz?

Buszuję po Internecie, szukam przygód Harry'ego Pottera, ale wyszukiwarka jak zwykle wypuła z siebie setki adresów. Zajrzałem na stronę z akcesoriami samochodowymi. No, może nie stać mnie na ferrari, ale szyberdach? Czemu nie. Rozglądam się dalej. Kompakt do samochodu. Klikam dalej, przechodzę do sklepu muzycznego. Tutaj właściwie nie mam na nic ochoty, ale z ciekawości wchodzę na listę bestsellerów. Dobrze się sprzedaje Golec uOrkiestra, a ja tego jeszcze nie słyszałem, więc odsłuchuję fragment piosenki. Znowu się zasiedziałem. Wpadam do jeszcze kilku sklepików. Kilka minut tu, kilka tam. Zupełnie jak na prawdziwych zakupach. Tylko na prawdziwych zakupach nie towarzyszy mi Broadvision.

Broadvision nie tylko wie, co kupuję. Ten program wie, co bym chciał kupić. Zanotował sobie miejsca, które odwiedziłem. W tym sklepie z akcesoriami samochodowymi oglądałem szyberdach, ale przecież przewinąłem stronę do samego dołu, gdzie były zdjęcia chromowanych rur wydechowych. A więc zapewne mam samochód - dedukuje maszyna. Pytanie tylko - jaki. Można zerknąć na ceny oglądanych przedmiotów. Niezbyt drogie, więc pewnie nie mam mercedesa, raczej coś klasy średniej.

Dziś kupiłem tylko Harry'ego Pottera, ale jutro - kto wie? Broadvision zapamięta mnie i podsunie mi odpowiednie rozwiązanie.

Właściwie ta maszyna chce jak najlepiej. Łazi za mną jak wierny pies i macha ogonem, kiedy na nią popatrzę. Więc czego się czepiam? Gdzie ja bym znalazł człowieka, który jak wierny kamerdyner pamiętałby, co robiłem 12 marca zeszłego roku.

- 12 marca zeszłego roku oglądał pan buty Ecco - powiedziałby kamerdyner. - Szczególnie był pan zainteresowany czarnymi, sznurowanymi półbutami rozmiar 43, względnie 44. Ośmielam się przypomnieć, że zrezygnował pan ze względu na cenę. Niemniej, niech wolno mi będzie powiedzieć, że ten model można obecnie kupić o 40 proc. taniej.

Osobisty kamerdyner to znakomita rzecz, jeśli jest jeden, ale programów, które chodzą za mną krok w krok, jest niestety cała masa. Irytują mnie, jak dziesiąty z kolei agent ubezpieczeniowy, który dzwoni do domu.

Mały Miś szpieguje dzieci dla Barbie

Keith Little odkrył dziecięcego szpiega podczas rutynowej kontroli. Little żyje z oczyszczania komputerów z programów szpiegowskich. W maju podczas badania komputera jednego z klientów odkrył program, który miał donosić o dzieciach. Program ukryty był w grach edukacyjnych rozprowadzanych przez firmę Mattel (producenta m.in. lalek Barbie). Z początku wydawało się, że szpieg siedzi tylko w programie Mały Miś, ale wkrótce okazało się, że mają go wszystkie programy dziecięce Mattela.

- Właściwie nie było to oprogramowanie szpiegowskie, ale marketingowe. Mimo to uważam, że zbieranie takich informacji od dzieci nie jest w porządku - twierdzi Simson Garfinkel.

Rodzice kupowali dziecku program. Dziecko wpisywało imię, nazwisko, wiek, zainteresowania. Program miał przesłać do producenta numer seryjny i nazwisko właściciela, na wypadek gdyby konieczna była pomoc techniczna. Ale przekazywał znacznie więcej: informację o zainteresowaniach dziecka, wieku, stronach internetowych, które odwiedzało, grach, jakie lubi. Takiemu namierzonemu dziecku znacznie łatwiej podsyłać reklamy zabawek.

Rzeczniczka Mattela Susan Salminen stwierdziła, że firma nie opracowywała przesyłanych wyników ani ich nie sprzedawała. Jednak wkrótce Mattel został zmuszony do rozprowadzenia oprogramowania, które miało usunąć szpiega z komputerów. Simson Garfinkel nie jest do końca przekonany, że zagrożenie zniknęło. Co prawda nowa wersja Małego Misia nie dzwoni sama do Mattela, ale program, który był za to odpowiedzialny, nadal jest zainstalowywany w komputerze. Podobno ze względów technicznych nie dało się go usunąć, ale jak obiecuje Mattel, nie będzie już sprawiał kłopotów.

Przypadek? To samo zdarzyło się w przypadku RealNetworks, producenta popularnego programu do odtwarzania muzyki na komputerze. Program rozdawany był za darmo. Aferę rozpętał Steve Gibson, właściciel małej firmy zajmującej się zabezpieczeniami. - Odkryłem, że za każdym razem, kiedy ściągałem z Internetu piosenkę, program "dzwonił do domu" - pisze Gibson.

Postanowił odkryć, jakie wiadomości przesyła. Udało mu się ustalić, że wysyłany jest ciąg 32 cyfr, z których 20 identyfikowało użytkownika. Firma natychmiast stwierdziła niemal w słowo w słowo to samo, co Mattel. - Wszystko zdarzyło się przez pomyłkę i program co prawda odsyłał informacje, ale tylko ogólne, niepowiązane z nazwiskiem, i nie były one przetwarzane.

Ale i tak są setki firm, których jedynym celem jest przetwarzanie tego, co ja robię na swoim komputerze. Zachęcanie mnie, żebym zdradził, ile zarabiam, gdzie mieszkam, czy mam samochód.

Wszystkie, na jakie się natknąłem, są w Ameryce. Już o mnie wiedzą, i już zaczynają irytować. Kiedy dostałem pierwszy list z propozycją kupna domu po okazyjnej cenie, było mi nawet miło. No tak, kiedyś w Internecie wypełniłem jakąś ankietę i odpowiedziałem na pytanie, gdzie mieszkam i czy mam własny dom. Nie mam, więc teraz pośrednik, pan Rob Bryson, proponuje mi dogodny kredyt na postawienie domu w dowolnym zakątku Stanów Zjednoczonych.

Zostałem sprzedany wiele razy. Otrzymałem oferty wymiany mojego samochodu na nowego pontiaka za drobną opłatę, niezliczoną ilość zachęt do zaprenumerowania pism, zagrania na loterii, a nawet do wzięcia udziału w jednej z konwencji wyborczych Partii Demokratycznej.

Demokraci gryzą mnie do tej pory. Nie przypominam sobie, żebym wypełniał ankietę z poglądami politycznymi.

Za moje upodobania wielu ludzi w Stanach Zjednoczonych zapłaciło pieniądze. Ile mogłem kosztować? Ile kosztuje jeden człowiek? Niewiele. Kilka centów. Najwyżej ćwierć dolara.

Ram Avrahami zaprenumerował pięć lat temu "U.S. News & World Report". Kilka miesięcy później dostał ofertę zaprenumerowania "Smithsonian". Okazało się, że jego dane zostały sprzedane razem z nazwiskami stu tysięcy innych abonentów za 10 tys. dolarów. Po dziesięć centów za nazwisko. Sprawa wyszła na jaw, bo Avrahami wytoczył dwa procesy sądowe, twierdząc, że jego nazwisko należy wyłącznie do niego i nie życzy sobie, by nim handlowano. Przegrał.

Ted Kamionek, menedżer w Firefly, firmie zajmującej się sprzedażą i obróbką danych uzyskanych z Internetu, wyjaśnia: - Jeśli zgłasza się do nas firma, która chce dotrzeć do żyjących na Środkowym Wschodzie mężczyzn w wieku 20 - 30 lat, lubiących kulturystykę i muzykę zespołu R.E.M., to mogę mu to załatwić.

Firma Response Media Products z Atlanty może nam sprzedać 132 761 nazwisk kobiet, które robiły zakupy związane ze ślubem.

Ale dlaczego kto inny ma na mnie zarabiać? Mogę zarobić na sobie sam.

Jeśli podłączyłeś się do Internetu, każdy twój krok i tak jest śledzony.

- Nie możesz tego uniknąć, ale możesz na tym zarobić - przekonuje Fred Davis, założyciel Lumerii.

Do tej pory celem internetowych szpiegów było wyłapanie ludzi zainteresowanych chociażby najnowszym modelem BMW i sprzedanie listy dealerowi. Davis proponuje, żeby klienci sami sprzedawali mu swoje zainteresowania.

- Byle łachudra może w Internecie oglądać nowe BMW, kupowanie takich nazwisk nawet za kilkanaście centów to strata pieniędzy - wyjaśnia Davis. - Tymczasem BMW mogłoby zapłacić nawet sto dolarów za klienta naprawdę zainteresowanego samochodem. Davis dzieliłby się pieniędzmi z klientem. Oczywiście, jeśli klient szukałby dzinsów czy płyty, suma do podziału byłaby o wiele mniejsza.

Harcerz łapie bumelantów

John właśnie wysłał list do swojej dziewczyny, Bill sprawdza numery na loterii, a Jake rezerwuje sobie bilet na wakacje. Andrew Quinn z kanadyjskiej firmy Ritvik, produkującej plastikowe kowboje (taka kanadyjska wersja naszych krasnali), od kilku miesięcy wie wszystko. Jakie dowcipy śmieszają Johna, Billa i Jake'a, co lubią zjeść na obiad, z kim flirtują i kogo nienawidzą. Andrew jest administratorem systemu w niewielkiej kanadyjskiej firmie. I właśnie założył SuperScouta, czyli superharcerza - system do podglądania listów swoich pracowników.

- W ciągu ostatniego roku podwoiła się liczba firm, które podglądają listy elektroniczne wysyłane i otrzymywane przez swoich pracowników - twierdzi Abner Germanov z International Data Corporation.

Oczywiście, śledzenie poczty elektronicznej było możliwe zawsze, odkąd tylko zaczęto pisać listy

elektroniczne. Dostęp do nich mieli administratorzy sieci. Przeważnie nie ingerowali w to, co piszą ludzie. Dyrektorom nie chciało się siedzieć przed ekranem w pokoju administratora i przeszukiwać mejli. W ciągu kilku miesięcy to się zmieniło.

Superharcerz to program, który wyświetli, co sobie dyrektor zażyczy: kto wysłał albo otrzymał największą pocztę. A inne programy potrafią z niej wylapać dowolne słowa. Podejrzewam, że moi ludzie zabawiają się wysyłaniem dowcipów o blondynkach zamiast pracować? - Zaden problem. Program wskaże mi winnych.

- Nie jestem ciekawy, co wypisują moi pracownicy - wyjaśnia Quinn. - Ale firma została zmuszona do wymiany łączy internetowych, bo stare już nie wystarczały. Niedługo znowu musielibyśmy je wymieniać, bo ruch jest coraz większy. Ale możliwe jest też coś innego. Ograniczenie liczby prywatnych listów. Stwierdziliśmy, że połowa nie ma związku z pracą.

- To nie fair, że ktoś wie, co piszesz - zastanawia się Karen Trainor, nadzorująca w firmie Ritvik sprzedaż na rynku amerykańskim. - Ale znam Quinna i wierzę, że jeśli zdecydował się na coś takiego, to ma powody.

Chris McNierney, menedżer w Seabor International - kolejnej firmie, która założyła oprogramowanie do śledzenia poczty - nie chce, by to położyło kres prywatnej korespondencji, tak jak się dzieje w większości firm ścigających pracowników nawet za wysłanie życzeń.

Jerry Kennedy dostał naganę nie za oglądanie zdjęć pornograficznych, ale najzwyczajszego mejla z dołączonym obrazkiem pajacyka. Akurat był Dzień św. Patryka, święto Irlandczyków. Znajomy przysłał mu pajacyka, Jerry uznał, że wysłał go do przyjaciół. Natychmiast został wezwany na dywanik do szefa za używanie służbowego sprzętu do celów prywatnych. - Każdy wysłał od czasu do czasu życzenia do bliskich, to nic dziwnego - mówi McNierney. - Jeśli kontrolujemy pocztę elektroniczną, to raczej po to, żeby przechwycić wirusy albo listy, które mogłyby kogoś urazić. Szanujemy prywatność.

Samuel D. Warrens i Louis D. Brandeiss napisali sto lat temu, że "prywatność to prawo do tego, żeby być zostawionym w spokoju".

Ale czy to jeszcze możliwe?

Japoński sex-shop na boku

Kwiecień 2000 roku. Magazyn vault.com przeprowadza sondę wśród amerykańskich pracodawców. Ponad połowa z ankietowanych 1200 dyrektorów potwierdza, że przyłapała pracowników na pisaniu prywatnych listów albo załatwianiu przez Internet własnych interesów.

Według American Management Association w zeszłym roku prawie połowa pracowników w amerykańskich firmach była szpiegowana przez pracodawców. AMA przeprowadziła badania w tysiącu firm różnej wielkości. W tych największych Wielki Brat obserwuje znacznie częściej niż w małych.

W dodatku w Stanach Zjednoczonych pocztę elektroniczną można podglądać bezkarnie, a na podsłuch rozmów telefonicznych trzeba zdobyć zgodę nie tylko pracownika, ale również osoby, z którą rozmawia.

Inwigilowani pracownicy idą do sądu i przegrywają sprawę za sprawą.

Michael Smythe został wyrzucony z pracy w Pittsburg Corporation za to, że w prywatnym mejlu do kolegi nazwał swojego szefa "zimnym draniem". Sąd przyznał rację firmie: - Smythe nie mógł sądzić, że list wysłany z firmowego komputera nie zostanie zauważony. Czyli dostał to, czego chciał. Oczywiście Smythe nie został zwolniony za epitet, ale za to, że w godzinach pracy wysłał prywatną pocztę.

Do tej pory ani jedna sprawa nie skończyła się zwycięstwem pracownika.

Co prawda raz sąd polecił przywrócić do pracy policjanta, zwolnionego za oglądanie w pracy pornograficznych zdjęć, ale tylko dlatego, że uznał to za pomyłkę. Jeden z oficerów odkrył, że komputer, z którego korzystał policjant, łączył się ze stroną whitehouse.com. To strona pornograficzna, ale policjant odwołał się i wygrał sprawę. Jego prawnik przekonał sędziego, że policjant po prostu się pomylił. Chciał zajrzeć na oficjalną stronę Białego Domu, której adres różnił się od witryny erotycznej tylko rozszerzeniem: whitehouse.gov.

- Odcinanie ludzi od korespondencji ze znajomymi to bezsens. Nie da się tego zrobić, bo praca jest coraz bardziej związana z życiem prywatnym - argumentuje Beth Givens, kierowniczka Privacy Rights Clearinghouse, kalifornijskiej organizacji walczącej o prawa pracowników do prywatności. - Ludzie używają komputerów do umawiania się z lekarzami na wizytę, kontaktu z krewnymi czy ubezpieczenia domu. Nie można im tego zabronić. Coraz częściej pracę zabiera się do domu, a sprawy rodzinne trzeba załatwiać w pracy. Zresztą coraz powszechniejsze jest po prostu pracowanie w domu. Ale jeśli pracuję na komputerze w domu, to czy jestem nadal w domu, czy może w pracy? Okazuje się, że w pracy.

Dziekan na Uniwersytecie Harvarda pracował przeważnie na swoim domowym komputerze. Przełożonych zainteresowała jednak duża ilość danych, które przysyłał modemem. Polecili zbadać sprawę administratorom sieci. Okazało się, że dziekan kolekcjonował w swoim komputerze fotki rozebranych kobiet.

Skoro komputer był własnością uniwersytetu, to oczywiste, że nie było innego wyjścia, niż usunąć dziekana z pracy - twierdzi rzecznik uczelni.

Eric Rolfe z American Management Association zgadza się z nim: - W pracy trzeba pracować. Skoro ktoś nie zajmuje się pracą, powinien ponieść konsekwencje.

- To bzdura - sądzi Marcu Ranum, konsultant do spraw zabezpieczeń sieci. - Możemy zablokować możliwość oglądania stron pornograficznych i kontrolować, czy pracownicy nie piszą w pracy do przyjaciół lub kochanek, ale przecież jeśli oni nie chcą pracować, to nic ich do pracy nie zmusi. Będą pili kawę cały dzień albo palili papierosy przed drzwiami.

- Co ONI zamierzają teraz zrobić? Sprawdzać, ile razy chodzę do ubikacji i co tam robię? - pyta Howard Nordby, inżynier z Northrop Grumman Corp. Nordby dostał naganę za to, że w czasie przerwy obiadowej sprawdzał ze służbowego komputera wyniki meczów baseballowych.

Ale czy pracodawcy rzeczywiście przesadzają w obserwowaniu swoich pracowników? W zeszłym roku wyszło na jaw, że kilka osób z MassEdNet - rządowej organizacji budującej pracownie internetowe w szkołach - założyło w Internecie stronę promującą wrestling (wolnoamerykanekę) i seks. Na komputerze należącym do Departamentu Robót Publicznych ktoś założył mały sklepik z japońskimi filmami erotycznymi, a jeden z pracowników amerykańskiego Departamentu Stanu w czasie pracy wysłał do znajomych 324 listy dotyczące "Simpsonów" (popularnego serialu telewizyjnego).

W Polsce sytuacja jest taka sama.

- Jeśli chcesz zobaczyć coś ciekawego, to zajrzyj tutaj - napisał do mnie pracownik wielkiej, ogólnopolskiej firmy. - Nasi komputerowcy umieścili w sieci listę adresów w Internecie, do których najchętniej zaglądną nasi pracownicy.

Na liście adresów odwiedzonych jednego tylko dnia znajdowały się m.in. xxxsexpictures.com (548 razy), crazyteens.com (491 razy) i 728 innych adresów. Gdyby zobaczenie każdego z nich zabrało tylko minutę, kilkadziesiąt osób musiałoby je przeglądać cały dzień.

Cokolwiek robisz, i tak cię złapia

Wigilia, 24 grudnia ubiegłego roku. Godzina 9.24 i dziewięć sekund. Beth Mackenzie, młoda urzędniczka na prywatnym lotnisku w północnym Illinois, wchodzi do swojego gabinetu. Przyjechała specjalnie, żeby napisać coś na swoim komputerze. Jest sama w pokoju. System bezpieczeństwa SilentWatch włącza się automatycznie. Beth zaczyna pisać podanie o przyjęcie na studia i stypendium na wydziale lotnictwa. "Sądzę, że to jest kariera, która odpowiada moim zdolnościom i zapewnia pieniądze". Po chwili orientuje się, że popełniła błąd. Poprawia na "pieniądze". Patrzy krytycznie na podanie. Decyduje, że wzmianka o tym, że liczy na korzyści finansowe, nie stawia jej w najlepszym świetle. Skreśla zdanie o pieniądzach.

SilentWatch czuwa. Kiedy szef po świętach przychodzi do pracy, w jego komputerze znajduje się już przesłany przez SilentWatch tekst podania Beth, ale również wszystkie poprawki, skreślenia i dopiski.

Beth wpadła przez pomyłkę. Tak naprawdę pułapka zastawiona była na głównego programistę, którego zadaniem było przygotowanie strony w Internecie.

- Pracował u nas kilka miesięcy i nie zrobił nic - opowiada Steve Thomas, dyrektor lotniska. - Zaczęłam podejrzewać, że w rzeczywistości zajmuje się zupełnie czym innym, ale nie mogłem nic zrobić. Facet pracował w osobnym pokoju. Za każdym razem, kiedy wchodziłem, miał na ekranie jakieś liczby. Podejrzewałem, że to zasłona dymna, ale nie wiedziałem, jak to udowodnić. Rozważałem nawet kupno kamery, żeby go podglądać, ale kamera rzuca się w oczy, a na obrazie nie widzielibyśmy dokładnie tego, co jest na monitorze.

- Na początku grudnia zaczęliśmy podejrzewać, że jeden z pracowników załatwia prywatne interesy za pomocą naszych komputerów - wyjaśnia Chris Pauli, administrator sieci komputerowej na lotnisku. - Kupiliśmy SilentWatch (dosłownie: milczącego podglądacza), żeby odkryć, kto to jest.

SilentWatch to najnowsza generacja programów do walki z pracownikami. Rejestruje każde kliknięcie w klawisz, zapisuje wszystko, nawet słowa, które są wykasowywane przez autora. Natychmiast po napisaniu.

W dodatku wysyła do szefa to, co podwładny widzi na ekranie: tekst, rysunki, zdjęcia.

SilentWatch zaczął pracę. Chris Pauli zasiadł za komputerem i obserwował kolejne obrazy przesyłane z

komputera programisty, a Steve Thomas zaczął się pod jego drzwiami. Po kilku minutach Pauli dał sygnał. Thomas wpadł do pokoju. - Zobaczyłem coś obrzydliwego, wstrętną pornografię.

SilentWatch nie jest jedyny. "Twoi podwładni zniechęcą Spectora" - głosi reklama konkurencyjnego programu. Producent zapewnia, że Spector zrewolucjonizuje wydajność pracy.

- Używanie takich programów przez pracodawcę jest całkowicie legalne, wątpliwa jest tylko strona moralna - wyjaśnia Richard Eaton, twórca Investigatora (tropiciela). Do tej pory sprzedał go już pięciu tysiącom przedsiębiorstw. Exxon, linie lotnicze Delta i koncern lotniczy Lockheed tropią pracowników właśnie za pomocą jego programu.

- Produkowałem programy, które nadzorowały pocztę elektroniczną albo czas spędzany przy komputerze, ale to nie wystarczyło klientom - wyjaśnia Eaton. - Te programy przechwytywały podejrzane listy elektroniczne, ale nie zwracały uwagi, jeśli ktoś przeglądał zdjęcia pornograficzne z przyniesionego z domu kompaktu.

Investigator zrobił furorę wśród zazdrosnych żon i mężów. Program jest tani, kosztuje 99 dolarów. Odtąd każdy może śledzić, co małżonek robi w cyberprzestrzeni.

Do tej pory niewierni mężowie po prostu kasowali listy od kochanki, z Investigatorem ukrycie się nie jest już możliwe. Każde naciśnięcie klawisza zostawia ślad. Investigatora kupują również rodzice, którzy nie są pewni tego, co dzieci oglądają na monitorach.

Programami do monitorowania uderzeń w klawisze zainteresowali się już adwokaci prowadzący sprawy rozwodowe. Kilka miesięcy temu odbyła się konferencja o sposobach kontrolowania komputerów na rzecz rozwodu.

Co nowego u Misiaczka?

W Polsce nikt się nie przyznaje do korzystania z programów szpiegujących pracowników. A jednak...

15 czerwca tego roku. Warszawa, jeden z luksusowych biurowców w śródmieściu, siedziba przedstawicielstwa dużej zachodniej firmy.

Na ekranie monitora pojawia się informacja: "Masz nową wiadomość". Maryla Brzeska ucieszyła się. Miała nadzieję, że Piotrek dziś napisze. Po kilku minutach na jej biurku zadzwonił telefon: - Dyrektor panią wzywa.

- Spotykaliśmy się z Piotrkim od pół roku - opowiada Maryla (nazwisko, miejsce pracy i okoliczności sprawy zmienione). - Pracował w naszej filii we Wrocławiu. Właśnie tam się poznaliśmy, kiedy pojechałam pierwszy raz do oddziału. Nadzorowałam ten oddział, więc mogliśmy spotykać się kilka razy w miesiącu. Nie chciałam, żeby ktokolwiek w firmie o nas wiedział. Nie dzwoniłam do Piotrka z pracy, uznałam, że nawet dzwonięcie na komórkę jest zbyt ryzykowne, bo mamy telefony służbowe i mogłoby to wyjść na bilingu. Pisaliśmy do siebie mejle. Sądziłam, że to najbezpieczniejsze. Umawialiśmy się na spotkania, tego dnia też planowaliśmy wspólny weekend w górach. Poszłam do dyrektora. Uśmiechnął się i zapytał: - A co tam nowego - zerknął na wydruk - u Misiaczka. I rzucił na biurko plik kartek z wydrukowanymi naszymi mejlami. Myślałam, że zemdleję. Przecież tam pisaliśmy o bardzo intymnych sprawach. Potem dyrektor zaczął coś mówić o odpowiedzialności. Na koniec powiedział: - Pani Marylo, sądzę, że najlepiej będzie, jak zajmie się pani innym oddziałem. Dostałam Gdańsk. Często muszę tam zostawać na weekend. Nie widzieliśmy się z Piotrkim od dwóch miesięcy.

Wielki Brat czasem się przydaje.

W jednej z dużych firm kontrola poczty pozwoliła ujawnić maniaka. Jedna z kobiet pracujących w biurze otrzymywała pocztę od anonimowego nadawcy: "Twoje dni są policzone". Następnego dnia kolejny: "Szykuj się na śmierć". W trzecim mejlu nieznaną nadawca pisał: "Nic ci nie pomoże, że poskarżyłaś się szefowi. I załóż lepiej tę pomarańczową sukienkę". Było jasne, że chociaż listy pochodziły z anonimowego konta, nadawcą jest ktoś w biurze.

- Udało się go błyskawicznie zlokalizować - opowiada dyrektor firmy. - Nic mu nie pomógł anonimowy serwer i fałszywe nazwisko.

Administrator może namierzyć każdego. - Kilka tygodni temu wysłałam mejla do Aśki, mojej koleżanki, która właśnie dostała pracę w dużej zachodniej firmie. Słyszałam, że jest w ciąży i chciałam jej pogratulować - opowiada Gosia Kaliszewska (nazwisko również zmienione). - Odpisała mi natychmiast, że nic podobnego. Ucięła wszystko jednym zdaniem. Przeraziłam się, że może coś się stało, poroniła, a ja tu z gratulacjami. Spotkałyśmy się po kilku dniach. Aśka powiedziała, że jest w ciąży, ale nie mogła napisać tego w liście. Szef przegląda jej mejle, a ona była na okresie próbnym. Gdyby się dowiedział, wyleciałaby z firmy.

Podpaść można za wszystko. Podpaść mogę nawet wtedy, gdy nie oglądam zdjęć pornograficznych, a

korrespondencję wysyłam wyłącznie z domu. Wielki Brat obserwuje przecież wszystko. Nawet listy dyskusyjne miłośników samochodów.

Na listę dyskusyjną o kuchni Wschodu, literaturze fantastycznej czy telefonii komórkowej każdy może się zapisać. Te listy też są śledzone. Kilka miesięcy temu właściciel samochodu wyprodukowanego przez jedną z fabryk w Polsce pochwalił się innym użytkownikom listy, że jego samochód, mimo że mały, sprawuje się całkiem niezle. - Wziąłem na hol poloneza szwagra i dociągnąłem do warsztatu - poinformował.

Kilka miesięcy później pojechał do serwisu na przegląd gwarancyjny. Okazało się, że konieczna jest wymiana sprzęgła.

- Producent postanowił cofnąć panu gwarancję, ponieważ sprzęgło uległo uszkodzeniu, kiedy holował pan poloneza szwagra, a tego robić nie można - dowiedział się w warsztacie.

Aresztuję pana za wysłanie mejla

Lipiec 2000 roku. Parlament angielski zatwierdza tzw. RIP - akt, w którym szczegółowo określa sposoby podsłuchiwanie obywateli. Odtąd każdy dostawca Internetu w Wielkiej Brytanii będzie zmuszony do założenia czarnej skrzynki - urządzenia, które pozwoli namierzyć każdego internautę, nawet jeśli używa anonimowego konta pocztowego i fałszywego nazwiska. Wszystkie listy elektroniczne będą od tej pory oficjalnie monitorowane przez rząd. Utrzymanie systemu ma kosztować 30 mln funtów rocznie. Jak ma działać? Bardzo prosto. Brytyjski wywiad MI-6 może wszystkie listy przeglądać, kontrolować i rekwirować bez pytania.

“Guardian” pisze, że kiedy na początku tego roku oficer angielskiego wywiadu napisał do redakcji mejla ujawniającego niektóre tajemnice, wywiad chciał skonfiskować pocztę elektroniczną. Sędzia oddalił żądanie jako bezzasadne. Teraz nikt nie musi się już kłopotać pytaniem o pozwolenie, a angielskie gazety biją na alarm, że wolność słowa jest zagrożona.

Brytyjski wywiad przejrzy moją korespondencję tylko wtedy, jeśli napiszę do znajomego w Zjednoczonym Królestwie. Na co dzień obserwuje mnie Echelon. Ale Echelon obserwuje w końcu wszystkich.

Do niedawna przecieki o jego istnieniu pojawiały się wyłącznie wśród egzotycznych wiadomości w sieci. Obok informacji o kolejnych próbach zatuszowania sprawy latających spodków czy o tym, że Elvis Presley żyje i ma się dobrze, albo że rząd amerykański sfingował lądowanie ludzi na Księżycu. Tam właśnie zawiadamiano nas o Echelonie - potężnej sieci komputerowej konstruowanej w całkowitej tajemnicy przez wywiady kilku państw zachodnich. Echelon miał być Wielkim Bratem w postaci totalnej. Kiedy zacznie działać, będzie podsłuchiwał wszystko i wszędzie. Będzie przeszukiwać wszystkie mejle wysyłane na świecie i wyłapiać te podejrzane. Do tych, którzy je wysyłają, mieli przychodzić “faceci w czerni” - agenci rządowi wysłani przez system.

Jeszcze kilka miesięcy temu Echelon mógłby stać się tematem kolejnego odcinka “Z Archiwum X”. Ale już nie dzisiaj. Nie po wywiadzie udzielonym dziennikarzom duńskiej gazety “Ekstra Bladet” przez Margaret Newsham, która pracowała przy przygotowywaniu Echelona.

Margaret Newsham twierdzi, że teraz obawia się o swoje życie. Sypia z rewolwerem pod poduszką, a jej domu strzegą wielkie psy. Przesadza? Chyba nie, skoro jej doniesienia o globalnym Wielkim Bracie zostały oficjalnie, choć niechętnie, potwierdzone przez Departament Stanu USA. Echelon rzeczywiście istnieje i już zaczął kontrolować.

Margaret Newsham umiera na raka. Zdecydowała się mówić, kiedy stwierdziła, że znaczna część jej dawnych współpracowników już nie żyje: umarli na raka, wylew albo zginęli w wypadkach. Powiedziała, że już w roku 1974 rozpoczęto budowę Echelona. Ona odeszła w roku 1984. Już wtedy system był tak potężny, że współpracownik pokazał jej, jak podsłuchać przewodniczącego Senatu. Potrafił podsłuchiwać telefony, ludzi, a potem nauczył się, jak przechwytywać pocztę elektroniczną.

Echelon prawdopodobnie wszystko o mnie wie. Napisałem kiedyś list do znajomego; właśnie przeczytał książkę o planach Stalina, który chciał pierwszy zaatakować Niemców. Wymieniliśmy kilka niewinnych mejli, co by było gdyby, i chyba jestem gdzieś na czarnej liście. Na szczęście zachowuję kopie wysłanych listów i nie mam już wątpliwości. Kilka razy padło w nich słowo “Hitler”. Mejle są po polsku, więc facetom w czerni zejdzie trochę czasu na ich odcyfrowanie, ale i tak do mnie trafiają. Podobno Echelon podsłuchuje 90 proc. korespondencji elektronicznej na świecie. Jasne, że komputer nie czyta miliardów e-maili. Wybiera słowa kluczowe: Hitler, swastyka, heroina, seks z dziećmi. Prawdopodobnie i tak zostają miliony listów do przejrzania. W zeszłym roku hakerzy chcieli zatkać system, zalewając świat milionami listów, w których miały występować słowa: “heroina”, “kałasznikow”, “semtex”. Nie udało się im. Echelon przeanalizował wszystko.

Echelon ma pomóc w namierzaniu przestępców: handlarzy narkotyków, którzy coraz częściej wykorzystują pocztę elektroniczną, nazistów, pedofili. Ale czy przy okazji nie namierzy też wielu innych, zupełnie niewinnych?

Tajemnicę Echelona stara się wyjaśnić Bob Barr, kongresman z Georgii. Ale nawet dla niego przedarcie się przez tajemnice Narodowej Agencji Bezpieczeństwa nie jest proste. Dopiero w styczniu tego roku ujawniono pierwszy oficjalny dokument o istnieniu systemu.

- Sądzę, że to co wiemy oficjalnie o możliwościach systemu, to wierzchołek góry lodowej - twierdzi Barr.

Czy Echelonowi można umknąć?

- To proste. Nie używać komputera, nie korzystać z Internetu - mówi Christian Zimmerman, specjalista od zabezpieczeń komputerowych. - Oczywiście, to tylko teoria, nie da się pracować bez komputera. W takim razie najlepiej mieć dwa komputery. Jeden podłączony do sieci, drugi - prywatny. Ważniejsze listy przysyłać zwykłą pocztą.

Wysyłanie niezaszyfrowanego listu pocztą elektroniczną to szaleństwo. To tak, jakbyś zostawił kartkę pocztową na ulicy. Każdy przechodzień może ją przeczytać.

A więc co robić? Mam założyć sobie program do szyfrowania poczty? Takich programów jest wiele, choćby HushMail. No tak, ale żeby odbiorca mógł przeczytać mój list, też musi mieć ten program - tak kółko się zamyka. Mam pisać do każdego z pytaniem, czy ma program szyfrujący? A jeśli nie ma, co wtedy? Wysłać list pocztą? Mam nie zgadzać się na ciasteczka w komputerze? Tak radzą niektórzy. Już po kilku minutach w Internecie komputer zasypuje mnie lawiną informacji: "czy zaakceptować ciasteczko ze strony"... Jak mam odróżnić niewinne ciasteczko, które chce mi pomóc w zakupach, od programu, który będzie mnie śledził?

- Tak wygląda globalna wioska - twierdzi Reg Whitaker, autor książki "Koniec prywatności". - Odeszli w przeszłość wielcy dyktatorzy, rządy mają coraz mniejszą władzę, zyskują na znaczeniu organizacje ponadnarodowe. Takie jak Echelon i wielkie korporacje.

Mam się zachowywać jak Jason Castlett, specjalista komputerowy, który obsesyjnie broni swojej prywatności? Castlett robi zakupy w Internecie, ale tylko w kilku zaufanych miejscach. Nigdy nie wypełnia kart gwarancyjnych odsyłanych do producenta.

- Karty gwarancyjne to najpewniejszy sposób na namierzenie człowieka - twierdzi Castlett. Najchętniej płaci gotówką, bo karty kredytowe zostawiają w sieci ślady. Zamiast wysłać e-maile, korzysta z telefonu i poczty. Często po prostu wpada do znajomych z wizytą.

Paranoja? Nie, Nowy Wspaniały Świat - twierdzi Castlett. - Myślisz, że nikt cię nie widzi? Rozejrzyj się. Wielki Brat patrzy z każdej strony.

[-]

Korzystałem m.in z:

Simson Garfinkel "Database Nation";

Reg Whitaker "The End of Privacy";

Lisa Guernsey "The Boss Can Watch Your Every Online Move, and You Have Few Defenses", NYT;

"You've Got Inappropriate Mail; Monitoring of Office E-Mail Is Increasing", NYT

Katie Hafner "Do You Know

Who's Watching You? Do You Care?", NYT

Michel Marriott "It's Not Big Brother, It's Customer Service"

Ursula Sautter, "Privacy on the Net",

"Time Magazine";

Maura Kelly "Your Boss May Be Monitoring Your E-mail", Salon.com; John Whalen "Surveillance in the Workplace Is Getting Digitized - And Getting Worse", Salon.com;

Roy Greenslade "I Arrest You for Emailing", "The Guardian";

"I Sold My Life to Echelon", "Ekstra Bladet"

oraz z materiałów z Salon.com, CNET.com, Wired.com

LESZEK K. TALKO